



Maciej
Żytowiecki

Szuje, mątwy i

STRACENŃCY

MACIEJ ŻYTOWIECKI
SZUJE, MĄTWY I STRACENICY

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta Maciej Śłużyński

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Maciej Żytowiecki 2013

Okładka Copyright © Maciej Kaźmierczak

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-033-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała to książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

SZUJE.....	4
Powrót do służby.....	5
Z tęsknoty za Ritą.....	40
Z Nieba.....	49
MĄTWY.....	73
Karol Karoliny.....	74
Kamyk.....	94
Jeden za jednego.....	117
Niespełnione obietnice.....	127
STRACENICY.....	158
Wadliwy zbawiciel.....	159
Znak.....	180
Ubu.....	195
Przygoda z Zeldą.....	204

SZUJE

POWRÓT DO SŁUŻBY

1.

Czerwone klosze lamp zatańczyły pijanego walca trącone podmuchem wiatru, który wkradł się przez otwarte drzwi. Żarówki zapłonęły jaśniej, sycąc kolorem ukryte pod kapeluszem ogniste włosy kobiety, żeby nagle przygasnąć, topiąc salę w półmroku.

Stała w wejściu, jakby kogoś szukała. Pomyślałem, że to tylko poza – chciała, żebyśmy wszyscy dokładnie ją obejrzel. Wysoką, smukłą i piękną, o kształtach, jakich nie skryje nawet ten luźny płaszcz. Ociekała seksem. Alabastrowa skóra sprawiała, że wyglądała jak zjawą.

Chwila nie trwała długo. Jakaś ćma barowa przyfrunęła skuszona blaskiem bogini. Ledwie zauważalne poruszenie wydętych pogardą ust starczyło, żeby pijaczek wycofał się do swojej szklaneczki. Szansa na moment chwały przeminęła i powrócił do siebie, na dno.

Spostrzegła, że się gapię – siedziałem w pasiaku utworzonym z cieni żaluzji, ale przejeżdżający ulicą Ford T skąpał moją gębę światłem reflektorów. Nigdy nie uciekam wzrokiem, czekam, aż inni to zrobią, ale w tamtej chwili coś kazało mi spojrzeć na kieliszek absyntu, który grzałem w dłoniach. W alkoholowej toni ujrzałem odbicie krzywej facjaty.

– Pocałuj mnie zielonymi ustami – szepnąłem do Zielonej Wróżki.

Szum ubrania ostrzegł, że ktoś usiadł naprzeciw, słysząc moją cichą prośbę. Wiedziałem, że to będzie ona, rudowłosa. Nie musiałem podnosić głowy.

– Łyżka na kamieniach.

Uniosłem brew, wreszcie skupiając się na jej twarzy. Była jak perła, zdawała się promieniować wewnętrznym blaskiem, który zamieniał tę podłą budę w najpiękniejsze miejsce na ziemi.

– Nie rozumiem.

– Whisky z lodem, podwójną od razu. Po co marnować czas – powiedziała, obserwując mnie zza tych długich, gęstych rzęs.

Wstałem, wzdychając ciężko. Moje kości nie były już tak mocne jak kiedyś. Czasem miałem wrażenie, że ledwo unoszą rosnący ciężar ciała, bo każdego ranka karmiły mnie bólem, który ugasić mogła tylko ciężka garść pigułek.

Stałem przy barze, czekając, aż Samuel skończy nalewać piwo facetowi, który z trudem dostrzegał jeszcze kufel.

– Co będzie, Ezra? – zapytał.

– Lód ze szkocką na trzy palce.

– Dobra – potwierdził Murzyn. Poprawił na głowie zniszczony beret, który nosił niezmiennie, od kiedy zaczął łysieć. – Nie wypijesz swojej Wróżki?

– Myślę o tym.

– Dobrze dla ciebie. Pomyśl. – Postawił otuloną białą chusteczką szklankę na barze, a ja w zamian rzuciłem srebrnego dolara. – Nie obraż się, ale wolałbym cię już tu nie oglądać.

– Nie tylko ty, Sam. Nie tylko ty.

Rozpięła płaszcz. Zdjęła kapelusz i położyła go na stole obok mojej wysłużonej Fedory. Rude loki rozpełzły się jak płomienie.

– Widziałam pana przed wejściem do klubu...

– Ezra, mów mi Ezra. Wszyscy tak robią.

– Byłeś w klubie.

– Nie dosłyszałem twojego imienia.

– Delila – rzuciła prędko. Ledwie zrozumiałem. – Widziałam, że byłeś na spotkaniu tych żalonych pijaków.

– Przyprował mnie tam przyjaciel.

– A teraz jesteś tutaj. W barze.

– Do baru przyszedłem sam. A ty?

– Ja?

– Masz jakiś interes, czy jestem tak piękny, że nie mogłaś się oprzeć?

– Masz coś w sobie.

– Wątpię, żebym był dość dobrą partią dla takiej kobiety.

Odsunęła się, rozsiadając wygodnie. Sięgnęła do kieszeni świetnie skrojonej marynarki i wyciągnęła elegancką papierośnicę zdobioną delikatnymi rytami. W środku – ułożone w rzędzie wąskie damskie papierosy. Poczęstowała mnie, a ja z chęcią zapaliłem, zadowolony, że mogę wreszcie spróbować czegoś lepszego od mieszanki sprzedawanej przez cyganów z Brudnego Mostu. Wydęcie purpurowych ust było jedynym komentarzem do braku manier, którym się popisałem. Użyła własnej zapalniczki.

– Jesteś silnym mężczyzną – mówiła, strzepując popiół. – Dzisiaj nie ma wielu takich.

Co rano oglądałem w lustrze własną głowę. Wyglądała jak wyciosana z drewna ręka czeladnika. Grube, twarde, kanciaste rysy i krótkie siwe włosy. Kiedy szedłem zaprawiony ulicą, porządni ludzie zawsze przechodzili na drugą stronę. Bez płacenia miewałem kobiety tylko z litości albo kiedy czegoś potrzebowały.

Byłem za stary na złudzenia.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Co byś powiedział, gdybym sprawiła, że przestaniesz pić? – odpowiedziała pytaniem. Pytaniem nie na miejscu.

– Wolę forszę.

– Nie lubisz przyjmować pomocy. – Koła dymu układały się nad naszymi głowami jak paciorki różańca. – Siedzisz w tym samym miejscu od dłuższego czasu. Oglądasz kielich absyntu, obok leży łyżka, cukiernica... Nie mieszasz. Nie pijesz.

– Piję, kiedy mam ochotę na picie.

– I czekasz, aż cię najdzie? Aż nie będziesz się mógł powstrzymać?

– Czego ty właściwie chcesz? – Zgasilem papierosa. Zza pazuchy wyciągnąłem paczkę wykałaczek. Ratująca życie sztuczka, kiedy mam ochotę zapalić kolejnego, ale muszę oszczędzać mieszankę, bo nie wiem, kiedy stać mnie będzie na nową partię.

– Proszę. – Czytała mi w myślach. Poczęstowała następnym eleganckim papierosem, zanim zdążyłem wetknąć wykałaczkę w kącik ust. – Znam cię, Ezra. Potrzebuję właśnie kogoś takiego.

– Na co komu stary pijak?

– Ezra... Zamknij się na chwilę, dobrze? – Uniosłem ręce w geście poddania. Kobieta, która potrafi podnieść głos na kogoś takiego jak ja, musi zyskać szacunek. – Jak powiedziałam, znam cię. Wiem wszystko o twoim problemie.

Spojrzała wymownie na stojący przede mną kielich.

– Wystarczy mieć dobre oko. – Wzruszyłem ramionami. – I za dużo wolnego czasu.

– Miałeś się zamknąć, chyba to ustaliliśmy?

Wyszczrzyłem zęby.

– Grzeczny chłopczyk. – Posłała mi czarujący uśmiech.

Złapałem za łyżeczkę – pamiątkę z dawnych, lepszych czasów, kiedy jeszcze dla wielu ludzi cokolwiek znałem. Zdjąłem nakrywkę z cukierniczki i nagarnąłem płaską porcję, następnie zamoczyłem łyżeczkę w absyncie i zapaliłem, by móc podziwiać, jak niebieski płomień ogarnia słodycz.

– Zielona Wróżka sprowadziła cię na dno, ale dalej nie potrafisz jej odmówić.

– W każdej bajce musi być wróżka. A moja świetnie całuje.

– Do klubu, na spotkanie grupy przyprowadził cię przyjaciel. Gliniarz, twój dawny partner. Zaprowadził pod wejście i przypilnował, żebyś zamknął za sobą drzwi. Ale ty uciekłeś. Nie umiałeś usiedzieć, kiedy kolejny frajer wędrował do mównicy, żeby opowiedzieć o swoim problemie. Skręcało ci flaki, gdy słuchałeś tych

słabeuszy, potrzebujących wsparcia, nieumiejących poradzić sobie w pojedynkę z bólem.

Mocno zamieszałem łyżeczką w kielichu, a potem uniosłem go w górę, pozwalając, żeby światło lamp zanurzyło się w mętym płynie. Karmel błyszczał jak diamenty.

– Dobrze mieć wielbicielek.

– Uciekłeś tylnym wyjściem i przyszedłeś tutaj. Do baru, żeby znowu się napić.

– Ta. – Pociągnąłem solidny łyk. Gorąco rozlało się po moim ciele i poczułem, jak znika napięcie mięśni, wraca spokój. – Zdrowie kolejnego przegranego frajera.

– Mogę sprawić, że wszystko odzyskasz.

– Jasne. Jesteś dżinem i spełnisz moje życzenie, jeśli tylko odpowiednio cię potrę.

– Nie ma dżinów. – Uśmiechnęła się delikatnie, prawie niezauważalnie. Jej dłoń powędrowała ku mojej, zamknęła się na niej. – Jestem za to ja.

Coś sprawiło, że spojrzałem na kielich. We wnętrzu zamiast absyntu wiły się niewielkie, zielone węże. Jeden zaczął wspinać się ku brzegowi pucharu. Cofnąłem rękę.

– Mogę sprawić, że przestaniesz pić. Bez próśb i ponizenia, wystarczy jedna drobna przysługa, a będziesz wolny. Wrócisz do pracy.

– Nie wierzę.

– W magię? Przecież sam masz odrobinę talentu.

– Skąd...?

Położyła palec na papierośnicy. Pomalowany krwisto paznokieć zalśnił na chwilę światłem, a Delila przesunęła nim powoli wzdłuż metalowej powierzchni. Wysunęła drugą papierośnicę z pierwszej, jakby wyciągała kartę z talii. Stworzyła idealną kopię oryginału.

– Jak w waszej księdze. – Oblizwała usta. – Rozmnożył ryby.

Otworzyłem papierošnicę z cichym trzaskiem. Wewnątrz brakowało nawet trzech papierosów, które zdążyliśmy spalić. Kanciaste znaki, układające się w mozaikę nie różniły się od tych zdobiących oryginalne pudełko.

– To prezent, żebyś uwierzył.

Wyciągnąłem jednego i zapaliłem na próbę. Ten sam jedwabisty smak.

– Stać mnie na dużo więcej – oświadczyła. Położyła na stole pękata kopertę z szarego papieru. – W środku znajdziesz pieniądze. To zaliczka.

– Drugie tyle po wypełnieniu zadania? – zakpiłem.

– Tak. – Była śmiertelnie poważna. Jej szmaragdowe oczy wpatrywały się we mnie intensywnie. – W kopercie jest zdjęcie pewnego mężczyzny. Starca. Barnaby. Znajdziesz tam też adres i rysunek przedmiotu, który ten człowiek mi ukradł.

– Za takie rzeczy ludzie idą do więzienia.

– Tylko jeśli ich złapią, a nie widzę tutaj żadnych gliniarzy. – Rozejrzała się, jakby rzeczywiście jeden z moich dawnych kolegów miał wychylić się zza żaluzji albo wyskoczyć zza baru. – Jesteś za to ty, Ezra.

– Jestem detektywem. Nie oprychem do wynajęcia.

– Czy to jakaś różnica? – Uśmiechnęła się kącikami ust, oczy pozostały zimne.

– Nie w tym mieście, nie w tych czasach.

Dopiłem absynt, który znów stał się alkoholem. Ułożyłem dłonie na blacie stołu. Nie drżały jak wcześniej.

– Jak cię znajdę? – zapytałem wreszcie.

– To ja znajdę ciebie.

2.

Trzeciego dnia znałem każdy element budynku po drugiej stronie ulicy. Pamiętałem każdą z desek, którymi zabito okna na parterze, pamiętałem ułożenie zasłon w oknach na pierwszym piętrze. Kiedy zamknąłem oczy, widziałem krzywe mordy

gargulców przycupniętych na dachu, łpiących smutno na mnie i na przechodniów. Lśniący, czerwony słup ogłoszeniowy z rozsypującą się padliną budynku, przed którą został ustawiony, tworzyły przedziwną parę. Wyglądało to jak plakat burdelowego artysty, chcącego wyeksponować zachwalaną dziwkę. Coś nowego i zadbanego z czymś starym i brzydkim. Takie rzeczy po prostu do siebie nie pasują. Obok stał jeszcze kiosk z gazetami, dalej mały sklepik z żarciem. I to wszystko.

Trzeciego dnia znałem na pamięć cały brudny pejzaż, który stał się moim domem, lecz nadal musiałem czekać na okazję.

Stary Barnaba prawie nie wychodził z domu.

Widziałem go dwa razy, kiedy zszedł na dół do stoiska z prasą. Szedł oparty na dwóch kulach, a te wyginały się pod jego ciężarem, jakby miały zaraz pęknąć. Nogi obudowane metalowymi szynami postukiwały przy każdym kroku. Był wysoki i chudy, i pomyślałem, że pierwszy lepszy podmuch wiatru go zabije. Złamię jak patyk.

Policzyłem, jak długo zajmuje mu powrót. Nie dość długo. Jego mieszkanie zajmowało całe najwyższe piętro budynku. Prawie dwieście metrów kwadratowych – za dużo, żeby podczas nieobecności starca znaleźć przedmiot, którego potrzebowała Delila.

Minął kolejny dzień, potem następny... Dzieliłem je pomiędzy pobliski diner a pokój, który wynająłem w zapchlonym motelu naprzeciw domu Barnaby, między obserwacją a krótkie sny przepełnione koszmarami o krwi i monstrum z metalowymi skrzydłami. To chyba sumienie mnie gryzło, bo wcześniej nie męczyły mnie koszmary. Zwykle zamykałem oczy, a potem otwierałem je kilka godzin później – wypoczęty.

Sumienie... Jednak je posiadałem. Wielu by się zdziwiło.

Jadłem porządnie i ograniczałem absynt na tyle, żeby w każdej chwili być gotowy do akcji. Palilem damskie papierosy, prezent od Dalii – etui w magiczny

sposób napelniało się, kiedy kończyłem ostatniego. Prawdziwa magia, coś równie rzadkiego jak czarna perła albo miłość. Coś, o czym się słyszy, ale w co się nie wierzy.

Piątego dnia nie wyszedł po gazetę. Nastala noc, a ja musiałem podjąć decyzję. Czekać czy może spróbować już teraz? I włamać się, licząc, że stary kopnął w kalendarz? W końcu nie wyglądało na to, że wiele mu potrzeba.

Założyłem ubranie robocze – czarne spodnie i znoszony sweter z grubej wełny. Naciągnąłem rękawice z czarnej skóry, które nazbyt często używane odbarwiły się na czerwono i wytarły na knykciach. Kapelusz zamieniłem na kominiarkę. Za pasek schowałem krótką, giętką pałkę, która została mi po pracy w policji, oraz wysłużony rewolwer z przetrąconym celownikiem. Jakoś nigdy nie miałem dość zaparcia, żeby go zreperować.

Pochylony, przemknąłem ulicą do zamkniętego nocą stoiska z gazetami. Zaczaiłem się pod daszkiem, spoglądając w okna na piętrze. Były ciemne.

Wszedłem do środka. Skoncentrowałem się i wyczarowałem nad głową niewielki płomyk, mający oświetlać drogę. Moja skromna umiejętność, którą odkryłem w dniu Rudego Śniegu. Przydatna, ale nie dość dobra, żeby zmienić życie na lepsze. Co najwyżej niezła sztuczka na przyjęcia, żeby przygruchać podpitą damę, która nie ma czym podpalić cygaretki.

Wcześniej zdołałem już zakraść się na parter. Zajrzałem tu na kilka chwil, ale to wystarczyło, żeby zapamiętać rozmieszczenie pokoi i schodów; dlatego teraz kroczyłem pewnie, gotów w każdej chwili zdusić ogień w dłoni. Wchodziłem na górę, nadstawiając uszu.

Było cicho, zbyt cicho jak na mój gust. Stare schody, pomimo że wyglądały, jakby zaraz miały się rozpaść, nie wydawały dźwięku, nawet nie wzdychały pod moim ciężarem. Na poręczach pod palcami wyczuwałem sypki nalot.

Kurz – zauważyłem, przysuwając rękawiczkę do światła.

Wnętrze budynku sprawiało wrażenie przeznaczonego do rozbiórki.

Dlaczego jest tak cicho? – zastanawiałam się wciąż.

Dom powinien trzeszczeć, schody skrzypieć, drewno odkształcać się pod ciężarem milionów kroków, które latami stawiali tutaj ludzie. Dłoń odruchowo powędrowała ku rękojeści broni, jednak szybko zmieniłem zdanie. Po co ryzykować? Przecież w tym domu nie przebywał nikt poza starcem. Wyciągnąłem zza paska gumową pałkę.

Na piętrze było równie cicho. Przytłumiłem płomyk na tyle, na ile się dało, żeby nie zgasł – przypominał teraz świetlika fruującego wokół mojej głowy. Cienie zgęstniały, jakby tysiące mrocznych postaci czekało na dogodną chwilę, żeby rzucić mi się do gardła. Prawie czułem ich mroźne szpony wyciągające się po moją duszę.

Spokojnie, Ezra.

Stąpałem ostrożnie, starając się nie hałasować, chociaż myślę, że równie dobrze mógłbym tupać i skakać, a niewiele by to zmieniło. Podłoga nie skrzypiała, odgłos moich kroków nie niósł się po pustym korytarzu, jak powinien.

Pomyślałem, że podobnie cicho bywa, kiedy ma się stać coś złego. Chwilę przed tym, jak wpadłem w poślizg i uderzyłem w tamtą kobietę, też było podobnie – nie mogłem już nic zrobić, pędziłem wprost na nią, w świetle reflektorów widziałem jej przerażoną twarz... Wówczas również dźwięki zniekształciły się, jakbym zanurkował pod wodę, a potem po prostu znikły. Nastąpiła cisza. Cichutko jak w tym starym domu.

Drzwi wyłoniły się z ciemności. Jeżeli rozłożenie pomieszczeń było podobne do tego na parterze, to za nimi czekało na mnie mieszkanie Barnaby; pewnie już zimnego trupa. Obrabianie nieboszczyków nosło znacznie mniejszy ładunek ryzyka niż krojenie spitych frajerów w zapluty, zarzyganych knajpach albo wyciąganie kasy od neptków dość głupich, żeby zaciągać pożyczki u bukmacherów z powiązaniem – pomyślałem dla pocieszenia. Tutaj przynajmniej marne były szanse, żeby natknął się na dawnych kolegów z pracy.

Nisko upadłem. Robienie zdjęć niewiernym mężom, wymuszenia, pobicia, a teraz włam do domu jakiegoś dziadka...

Nacisnąłem ostrożnie klamkę, przygotowany na skrzypnięcie albo na stuknięcie zapadki zamka. Nic podobnego, drzwi ustąpiły prawie bezgłośnie.

Gdybym wierzył w duchy, z pewnością do tej pory wybiegłbym stamtąd z krzykiem. W takich warunkach wyobraźnia potrafi płatać figle. Na szczęście nie należałem do tej bandy ezoterycznych kretynów, którzy zdobywali ostatnimi czasy popularność wśród burżujów. Jako jeden z nielicznych dotkniętych odrobiną talentu magicznego, wiedziałem, że duchy nie istnieją.

Tylko dlaczego włoski na karku stanęły mi dęba?

Pieprzyć to. Postanowiłem, że zaryzykuję i podkręciłem moje magiczne światełko na tyle, na ile starczyło sił.

Biała fala mojego prywatnego światła rozlała się po pomieszczeniu. Mocniej złapałem gumową pałkę, stanąłem w rozkroku, pochylony, przygotowany na ewentualny napad. Na atak starca poruszającego się o kulach.

– Gówno – powiedziałem odrobinę głośniejszym głosem, niż zamierzałem.

Pomieszczenie było puste. Cienie uciekające przez moim płomykiem nie miały się gdzie skryć. Barnaba nie przywiązywał wagi do wystroju – krzesło stojące pośrodku było jedynym meblem. Na przeciwległej ścianie dojrzałem kolejne drzwi i już szedłem w ich stronę, kiedy moją uwagę przykuło coś dziwnego. Przykucnąłem przy krześle, metalowym i bardzo solidnym. Pośliniłem czubek palca, po czym przeciągnąłem nim po poręczy. Krew – potwierdziłem, czując pod językiem znajomy, cierpki smak.

Schowałem pałkę za pasek, zamiast niej wyciągnąłem rewolwer. Kogoś niedawno przywiązano do tego krzesła, być może starego Barnabę. Może ludzie, którzy go złapali, wciąż jeszcze znajdowali się w budynku, chociaż nie wiem, jak mogli dostać się do środka niepostrzeżenie.

Dlaczego było tak cicho? Jak tamtej nocy, kiedy miałem wypadek – czyżby świat chciał mi coś powiedzieć?

Odciągnąłem kurek gnata i gwałtownie otworzyłem kolejne drzwi, uznając, że czas podchodów minął. Jeżeli napastnicy byli wystarczająco ostrożni, to z pewnością już wiedzieli o mojej obecności.

Natychmiast przykucnąłem, chowając się za ścianą, skąd wychylnąłem ostrożnie dopiero po dłuższej chwili. Lata szkolenia w Akademii, szmat czasu spędzony na ulicy... Nic nie mogło zabić wyuczonych odruchów. Nie nauczysz starego psa nowych sztuczek. Zostanie tym samym psem, nawet jeśli wypieprzysz go z domu.

Nie płaciła mi za to, ale zamierzałem uratować Barnabę, o ile jeszcze żył.

Kolejny pokój był pusty. Stara szafa stęknęła, kiedy padł na nią mój wzrok. Westchnąłem z ulgą – wreszcie dom wydał jakiś dźwięk.

Nie miałem dokąd iść. Według moich obliczeń powinno być jeszcze jedno pomieszczenie, jednak wokół widziałem tylko gołe ściany. Żadnego wejścia, ukrytej skrytki... Nic. Szafa i kanapa, to wszystko.

Cholera. Spaprałem prostą robotę.

Usiadłem zrezygnowany na kanapie. Była twarda. Chociaż rozłaziła się w oczach, pruła i sypała, chociaż trzymała się w kupie na słowo honoru – była twarda. Coś wsadzono do środka. Otworzyłem mebel, kierując rewolwer na schowek... I zamarłem. Mój ogień rozbłysnął, jakby odpowiadając na zaskoczenie.

W środku leżała dziewczyna. Naga jak po urodzeniu.

Kucnąłem, przykładając stary zegarek do jej ust i pilnując jednocześnie, żeby płomień nie przypalił mebla. Z pewnością była martwa, jednak jeżeli czegoś mnie nauczyło kilkanaście lat pracy w policji, to ostrożności – zawsze lepiej się upewnić. Dłonie miała skrępowane. Powrozy werznięły się tak głęboko, że prawie zrosły ze skórą. Poruszyłem więzy czubkiem lufy, ale nawet nie drgnęły.

Odgarnąłem włosy dziewczyny. Widziałem ją wcześniej. Chodziła na spotkania grupy pomocy, na które i ja uczęszczałem. Była alkoholiczką i była brzydka, naprawdę brzydka. Jeśli ktoś ją wziął, zanim została zamordowana, sam musiał być pijany w sztok.

Co do diabła?

Zauważyłem wypalony pomiędzy drobnymi piersiami symbol krzyża w okręgu. Ktoś przysmażył dziewczynę, kiedy jeszcze żyła, a ja wiedziałem nawet, czego użył do tego celu. Dość długo wpatrywałem się w rysunek przedmiotu, który miałem odzyskać dla Delili, żeby nabrać pewności.

Światelko zamrugało. Dochodziłem do limitu swoich żalonych możliwości – chociaż byłem jednym z niewielu posiadających czarodziejskie umiejętności, mógłbym się założyć, że w całym mieście nie ma nikogo, kto potrafiłby z nimi zrobić tak mało jak ja.

Postanowiłem, że sprawdzę jeszcze szafę i wynoszę się. Przygotowałem rewolwer, złapałem za drzwi mebla...

Nagle poczułem napór. Oba skrzydła otworzyły się z trzaskiem, niemalże wypadając z zawiasów, a ja upadłem do tyłu. Poczulem ostry ból w plecach, trafiłem w jakąś wystającą z podłogi deskę. Uniosłem broń, której jakimś cudem nie wypuściłem z dłoni. Zdążyłem wypalić, kiedy dwóch drabów, skrytych dotychczas we wnętrzu mebla, skoczyło na mnie. Pocisk nie zrobił na nich wrażenia.

Szarpałem się, ale byli zbyt ciężcy, a ja nie miałem dość miejsca, żeby porządnie uderzyć. Czekałem na chłodny pocałunek noża, kiedy zrozumiałem, że nie oddychają. Uspokojony, jakoś wydostałem się spod trupów i wstałem, stękając z bólu. Tym razem mężczyźni. Obaj nadzy, obaj z takimi samymi znakami wypalonymi na klatce piersiowej.

Coś stuknęło!

Odwróciłem się...

Staruch zawył i ruszył na mnie. Wyglądał jak opętaniec. Napchany wścieklizną po uszy. Dopiero uwolniony z łańcuchów, stęskniony, żeby wrazić żółte, połamane zębiska w mięso. Wymachiwał kulami przyczepionymi do rąk, jakby to była broń. Jego połamane nogi stękały i chrobotowały przy każdym kroku, a szyny i pasy, które trzymały to wszystko w kupie, nateżały się, jakby zaraz miały pęknąć.

Uchyliłem się w ostatniej chwili – jedna ze szwedek świsnęła mi nad głową. Trafiła w płomyk, rozbijając go na dziesiątki małych iskier. Resztki magicznego światła rozsypane po pokoju zaczęły przygasać. Ciemność opadała grubym kocem.

Kula zaświszczała ponownie. Poleciałem na ścianę jak szmaciana lala. Uniosłem się z trudem. Dosłyszałem klekot szyn pędzącego na mnie potwora...

I wystrzeliłem.

W rozbłysku dostrzegłem zniekształconą gębę Barnaby – wypisana na niej wściekłość nie pozostawiała złudzeń. Colt zagrzmiął jeszcze trzykrotnie, nim nastąpiła ciemność.

Oddychałem ciężko. Mój oddech był jedynym dźwiękiem. Wiedziałem, że mam jeszcze jeden nabój w rewolwerze, nie musiałem liczyć. Byłem za starym lisem, żeby popełnić błąd i pozbyć się wszystkich. Nigdy tego nie robiliśmy. Naciskaj tylko pięć razy, aż nie upewnisz się, że jesteś bezpieczny. Trzymaj ostatni nabój do chwili, kiedy zaczniesz przeładowywać. Słowa sierżanta zostały w mojej głowie, chociaż on sam dawno wachał kwiatki od spodu.

Leżałem długo.

Zaczynało jaśnieć. Pomyślałem, że straciłem rachubę czasu i słońce już wstaje... Pomyliłem się. Stara kanapa płonęła. Widocznie jeden z ogników zawinił.

W blasku rosnących płomieni zobaczyłem, że Barnaba wstaje. Ciężko wspierał się na szczudłach, toczył wściekle krwawą pianę. Jego czarne oczy popatrywały wokół, jakby dopiero się obudził.

Wstałem ciężko. Uniosłem rewolwer, celując prosto w czerep maniaka. Dłoń mi drżała – nie bałem się, po prostu brakowało mi siły. Mięśnie pulsowały rytmicznie, poobijane kości zgrzytliwe im przygrywały.

– Chodź tu, kutasie – wycedziłem.

Warknął. Nie odpowiedział, ale warknął jak zwierzę. I rzucił się na mnie. Znow pędził na tych połamanych kulasach, podobny do śmiertelnie ranionego zwierzęcia. Dzikiego psa albo postrzelonej hieny. Pomyślałem, że tak jak ja w tamtej chwili, musi czuć się ktoś stojący naprzeciwko rozpędzonej lokomotywy.

Poczekalem, aż będzie naprawdę blisko i wypaliłem mu w sam środek czoła. Mózg wyleciał z fragmentami czaszki, ale i tak walnął we mnie z rozpędu dość mocno, by nasze ciała wgniotły dziurę w starej ścianie.

Po chwili odrzuciłem truchło starego i stanąłem na miękkich nogach.

Płomienie na kanapie sięgały mi już do pasa. W pomieszczeniu było jasno jak w dzień, dzięki czemu zauważyłem otwarte drzwiczki w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się lita ściana. Uderzenie musiało uruchomić jakąś zapadkę.

W głowie armia grała marsza, ale zacisnąłem zęby i ruszyłem sprawdzić skrytkę. Pośród upchanych jak szproty w puszcze trupów odnalazłem to, czego poszukiwałem: żelazny przedmiot długości przedramienia.

Wychodziłem już, kiedy usłyszałem jęk starca. Niewiarygodne, ale Barnaba jeszcze dychał. Stanąłem nad nim, przyglądając się dziurze w czaszce, przez którą wyrwałem mu kawał mózgu. Ogień rósł i mogłem go zostawić... Po tym, co zrobił tym ludziom, na pewno na to zasługiwał.

Nie byłem jednak potworem.

Zważyłem w dłoni ciężki przedmiot, który zniszczył życie szalonego starucha i pomyślałem o tamtej brzydkiej dziewczynie z grupy pomocy... Uniosłem żelastwo nad głowę. Uderzyłem. Później znowu. I raz jeszcze, aż stary przestał oddychać. Aż przestał wreszcie charczeć.

Musiałem się napić.

3.

Jakiś stukot przywołał mnie do rzeczywistości. Przez półprzymknięte, polepione śpiochami oczy dojrzałem butelkę absyntu turlającą się pod stół. Butelka łapała wpadające przez nieszczelne żaluzje promienie słoneczne, nasyciała je własną barwą, żeby rozrzucić wokół zielone plamy światła.

Naciągnąłem na głowę koc, ale to nie uchroniło mnie przed natarczywym pukaniem – komuś bardzo zależało, żeby zobaczyć zapitą gębę Ezry. Ignorując ból, który od walki ze starym Barnabą wciąż nie opuścił mojego zużytego ciała, sięgnąłem pod poduszkę, szukając rewolweru. Namacałem znajomy kształt i wycelowałem w kierunku drzwi, w cień za przymgloną szybą opisaną słowem „oruiB”. Zakląłem. Komory były puste.

Pieprzona nieuwaga i życie na kredyt od jednej szansy do drugiej.

Zwlokłem się z łóżka, stopa zaplątała się w koc i padłem jak długi. Rewolwer wyleciał mi z dłoni.

– Już otwieram. Chwila. – Starąłem się cały czas mówić. – Jeżeli to w sprawie tego żółtka z naprzeciwka, to nie miałem zamiaru łamać mu ręki. To był wypadek. Mimo że bękart zasłużył.

Doczołgałem się do płaszcza, zeszłej nocy niechlujnie rzuconego na krzesło, i sięgnąłem do kieszeni. Kilka naboju wypadło na podłogę. Chwyciłem jeden, otworzyłem bęben...

Usłyszałem stuknięcie drzwi. Wycelowałem w tamtą stronę, ale nie domknąłem magazynku rewolweru. Nabój utknął do połowy w komorze, zakleszczony.

– Ezra... – Usłyszałem znajomy głos. W wejściu stał Pollock, mój dawny partner. I ciągle przyjaciel. – Człowieku, jak ty wyglądasz? Co się stało?

– Nic.

– Dlaczego wyszedłeś ze spotkania?

– Spotkania grupy wsparcia – parsknąłem. – Raczej spotkania bandy płaczliwych ciot.

– Wiesz dobrze, że musisz tam chodzić. To jeden z warunków ugody. Sędzina postawiła sprawę jasno.

Zebrałem się z podłogi. Zauważyłem na stoliku kubek z niedopitą kawą, usiadłem i zacząłem sączyć paskudny, zimny napój.

– Ezra, chłopie. Wiesz, za ile sznurków musiałem pociągnąć, żeby cię wydobyć z tego bagna? Dlaczego chcesz to wszystko spieprzyć?

Świątobliwy z niego człowiek, każdemu pomoże, powinien chyba zostać księdzem. Cud prawdziwy, że nadal pracował jako glina.

– Rozmawiałem z prowadzącym. Jest gotów dać ci jeszcze jedną szansę, jeśli przyjdiesz dzisiaj wieczorem na spotkanie.

– Cudownie. Już się nie mogę doczekać.

Przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko.

– Wiesz dobrze, że masz problem. – Na jego przystojnej, jakby wyciętej z plakatu twarzy, odmalowała się troska. Prawie wybuchnąłem śmiechem.

– Chcesz wykonać normę dobrych uczynków na dobę, Pollock?

– Dzisiaj o dwudziestej. Jeżeli nie przyjdiesz, prokurator znowu zacznie się tobą interesować.

– Trzęsę się ze strachu.

Wstał. Widać było, że nie ma ochoty dłużej rozmawiać. Podeszedł do drzwi, zatrzymał się na chwilę z ręką na klamce, odwrócony do mnie plecami.

– Na litość boską, Ezra. Wyciągam do ciebie rękę, próbuję pomóc, ale sam nie dam rady. Znamy się tyle lat... To ty wprowadziłeś mnie do pracy, wszystkiego nauczyłeś. Byłeś najlepszym policjantem, jakiego znałem. – Odwrócił się.

Nerwowym ruchem poprawił kapelusz. – Przestań obwiniać się za tę dziewczynę, popełniłeś błąd, zdarzył się wypadek... Ale każdy popełnia błędy, to ludzka rzecz.

– Dzięki, od razu czuję się lepiej.

– Alkoholizm to choroba. To potwór.

– Każdy ma swojego potwora.

– Przyjdź na spotkanie, inaczej nie będę mógł ci dłużej pomagać.

– Jakiego ty masz potwora, Pollock? Nosi habit czy może ma gęsie skrzydła i gra na harfie?

– Do zobaczenia o dwudziestej.

– Dzięki za dobre słowo. – Wychodząc, trzasnął drzwiami. – Alleluja.

Mylił się. Nie obwinałem się za śmierć tamtej dziewczyny, już nie. Emma Tallin, lat dziewiętnaście. Złe miejsce, zła godzina. Miała pecha.

– Po prostu robię to, w czym jestem najlepszy – powiedziałem do pustej przestrzeni i położyłem się spać.

Znalazła mnie, jak obiecała.

Słońce skryło się za horyzontem, a ja zdążyłem wyleczyć kaca szklanką dobrze zmrożonej wódki. Dzięki solidnej zaliczce załatwiłem, żeby na nowo puścili prąd do biura, więc mogłem korzystać z lodówki.

Założyłem spodnie i świeżą koszulę. Wyczyściłem spluwę i włożyłem ją za pasek. Ogolony i wreszcie umyty, wyglądałem na tyle dobrze, na ile może wyglądać facet, któremu nos, szczękę oraz chyba każdą kość twarzy złamano w życiu przynajmniej raz.

Dochodziłem do siebie, a wraz z przemijaniem bólu wspomnienie Barnaby zacierało się. Może pięć-sześć lat temu obeszłoby mnie, że go załatwiłem, dzisiaj już nie. Stary zasługiwał na to, co go spotkało. Chociaż, kto wie... Być może, gdyby cała

sprawa potoczyła się inaczej, jego trup pomógłby mi odzyskać odznakę? Dorwać mordercę to nie byle co.

Zimno butelki wódki niesionej do stołu, przy którym czekała dziewczyna, przywołało mnie do terażniejszości.

Delila splotła nogi, jak tylko dama potrafi. Pod pajęczą siateczką pończoch zgrabnie zarysowały się idealnie wyrzeźbione łydki. Siadając, rozpięła guzik garsonki – przypuszczalnie w biurze było za ciepło, bo nie sądziłem, żeby chciała zrobić wrażenie na mnie. Role między nami zostały już ustalone. Nie miałem złudzeń.

– Masz to? – zapytała.

Wskazałem głową łóżko. Mimowolnie zerknąłem na budzik stojący obok niego: do dwudziestej niespełna pół godziny. Jeszcze mógłbym zdążyć na spotkanie.

– Gdzieś się spieszysz?

– Nieszczególnie. Wyglądasz ponętnie.

– Chcesz czegoś spróbować, Ezra? – Uniesieniem brwi zmiękczyła trochę ostrzeżenie zawarte w tonie głosu.

– Skądże, jestem rycerzem w lśniącej zbroi.

– I dobrze dla ciebie.

– To twoje zdanie.

Podszedłem do łóżka i odsunąłem koc. Usłyszałem jej westchnienie, kiedy unosiłem przedmiot. Nie wyglądał specjalnie. Paskudztwo przedstawiało dwa wijące się węże (jak na kaduceuszu), trzymające w pyskach krzyż wpisany w okrąg.

– Pieczęć. – Głos Delili przesycony był ledwie skrywanym podnieceniem.

Położyłem na blacie dziwaczny pręt, którego zdobycie mi zleciła, i usiadłem przy stole. Potrzebowałem rozgrzewającego oddechu wódki w brzuchu, więc nalałem sobie pół szklanki. Delila wypiełgnowaną dłonią powstrzymała mnie od uniesienia

naczynia. Jej dotyk dosłownie elektryzował – wzdrygnąłem się, czując, jak prąd przepływa po mojej skórze.

– Nie pij. Coś ci obiecałam, pamiętasz?

– Lekarstwo na mój „problem”? – Delikatnie wyswobodziłem się z uścisku piękności. – Pamiętam. Wolę forszę.

Odchyliła się na krzesło, sięgając do stojącej na ziemi torebki. Babka, która mnie niańczyła, zawsze powtarzała, że dama nie kładzie torebki na podłodze, bo wtedy traci pieniądze. Jakimś cudem wspomnienie słów staruszki sprawiło, że poczułem się niepewnie. Byłem spięty i gotowy na to, że Delila wyciągnie z torby broń.

– Proszę – powiedziała, kładąc na blacie kopertę. Jeszcze grubszą od tej, którą dostałem wcześniej. – Zawahałem się, a ona to dostrzegła. – A więc wolałbyś uwolnić się od swojego demona? To warte więcej od całych pieniędzy świata.

Uniosłem w górę szklankę, jakbym miał zamiar wychylić jej zdrowie. We wnętrzu naczynia tańczyły żółte kłosa światła, załamując się na tłustych odciskach moich palców.

– Najpierw porozmawiamy – stwierdziłem. Gdzieś w środku, w bebeczach, nadal siedział gliniarz, detektyw. Ciekawski mały gość, który za wszelką cenę musiał poznać prawdę. – Płacisz dużo pieniędzy. Zbyt dużo jak za zwykły pogrzebacz.

Zaśmiała się. Szczerze i perliście. Tak pięknie, że miałem ochotę śmiać się razem z nią. Do diabła, mógłbym słuchać tego śmiechu cały czas. Była naprawdę cudowna, kiedy te wyrzeźbione w marmurze rysy wypełniała radość.

– To pieczęć – oznajmiła, poważniejąc nagle. – Prawdziwa rzadkość, jeden z trzech istniejących egzemplarzy.

– Zauważyłem już, że jesteś w stanie wiele dać, żeby ją zdobyć. Pewnie są tacy, którzy mogliby dać więcej. Tak sobie myślę, że są ludzie gotowi dla tego przedmiotu zabić – wtrąciłem.

– Nie sądzę, żeby na tym pomysłe kończyły się możliwości twojej wyobraźni. Są ludzie gotowi zrobić dla tych pieczęci o wiele więcej, niż zabić. Są zdolni poświęcić wszystko i wszystkich. Po prostu.

– Chyba wczoraj pozbyłem się jednego z nich.

– A więc Barnaba nie żyje?

Kiwnąłem głową.

– Obyś się nie mylił.

– Do moich obowiązków weszło więc zabójstwo – rzuciłem, puszczając mimo uszu jej ostatnią uwagę. – Zabójstwo i kradzież.

Teraz ona kiwnęła głową.

– A płacisz tylko za kradzież.

– Twardy z ciebie negocjator – westchnęła.

Nagle zrozumiałem, że udaje. Że każdy gest, którym podkreślała wypowiedane zdanie, jest wystudiowany i wyuczony. Jakby cały czas grała.

– Dostaniesz forszę. Dla mnie papiery nie mają żadnej wartości. Kiedy masz ich dość dużo, nagle przestają się liczyć.

– Ciesz się, że pozbawię cię odrobiny tego ciężaru.

– Tak naprawdę nie chodzi o pieniądze... Chcesz jeszcze jednej szansy od życia, chcesz odbić się od dna, wydostać z tej dziury. – Z pogardą taksowała wzrokiem moje biuro.

– Teraz jest tu porządek – zaprotestowałem.

– Nie chcesz już być niewolnikiem szklanki, ale nie pozwalasz sobie pomóc.

Dlaczego?

– Zasłużyłem. – Uniosła brwi, pierwszy raz chyba szczerze zaskoczona. – Zasłużyłem na wszystko, co dostaję.

– Sprawię, że będzie dobrze. – Na jej twarzy wykwitł uśmiech, tym razem jednak taki, że aż ciarki przebiegły mi po plecach. Coś z tyłu głowy kazało mi spieprzać stąd jak najdalej.

– Barnaba miał dziwne hobby – zauważyłem. – Używał twojego pudeńka do znakowania ludzi. Przypalał ich jak zwierzęta. Miał całą kolekcję ciał.

– Kretyn... Sam nie miał szans na powodzenie – mruknęła.

– Co ty powiesz? – Położyłem rękę na kolanie, a potem powoli przesunąłem ją w kierunku broni. Pomału wyciągnąłem rewolwer zza paska, licząc na to, że blat zasłania mnie wystarczająco. – A kto miałby lepsze szanse?

– To chyba oczywiste. – Zaśmiała się. – Możesz rozładować broń i rzucić ją na podłogę.

– Myślę, że to nie byłby najlepszy pomysł. – Wycelowałem w rudowłosą.

– Nie myśl za dużo – zasugerowała, po czym powiedziała słowo, którego nie znałem.

Chciałem rozkazać, żeby uniosła ręce nad głowę, kiedy zrozumiałem, że nie mogę się ruszać. Jakby ktoś zamknął mnie we wnętrzu żelaznej dziewicy – jedyne, co mogłem zrobić, to patrzeć. Przerażony, dostrzegłem blady dym niczym para unoszący się z mojej skóry. Jakby pory pozbywały się nadmiaru papierosowego dymu. Opar nie znikał jednak w powietrzu, a otulał mnie jak szal, szczelnie i ciasno, trzymając w potrzasku.

– Widzę, że rozumiesz. – Pokazała mi papierośnicę. Tę samą, którą skopiowała. – Nie bez przyczyny przez ostatnie dni karmiłeś się moim dymem.

Wstała z krzesła. Uniosła pieczęć i przycisnęła do piersi, jak matka tuląca dziecko.

– Spisałeś się, Ezra.

Napinałem bezustannie mięśnie, ale zakłęcie nie ustępowało. Dym pełzał po mnie jak wąż po ciele egzotycznej tancerki.

– Nie ma takiej siły, która uwolniłaby cię z tych pęt. – Pocałowała mnie w policzek.

Zrzuciła ze stołu wszystkie znajdujące się nań przedmioty. Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła. Położyła pieczęć na środku blatu, a potem wyciągniętą z torebki kredą zaczęła rysować jakieś dziwaczne symbole.

– Pamiętasz dzień, kiedy spadł kolorowy śnieg? – spytała nagle. – Musisz pamiętać, przecież też jesteś czarodziejem. Chociaż takim tycim. – Zrobiła znak palcami, pokazując, jaki ze mnie karzełek.

– Niektórzy mówią, że tamtego dnia umarł Bóg, a cała jego potęga opadła na ziemię, dzieląc się pomiędzy ludzi. Inni twierdzą, że to wina rządu, jakiegoś nieudanego eksperymentu. Słyszałam też teorię, że w Dzień Śniegu pękła zasłona pomiędzy rzeczywistym światem a światem magii – mówiła, nie przerywając rysowania. – Wiele tych hipotez... Pewnie sam też masz jakąś. Nie wiem, co stało się naprawdę i może nigdy się nie dowiem, jednego jestem jednak pewna... Tamtego dnia, kiedy tysiące szczęściarzy otrzymało magiczne zdolności, pojawiła się garstka wybrańców. Ludzi, którzy usłyszeli głos Pana!

Wariatka. Takie moje szczęście, cholera.

– Uwolnijcie dzieci moje, rozkazał. – Wreszcie zakończyła rysowanie. Poprawiła włosy i wsunęła je za uszy. Jej długie, otłuszczone ciężkim, czarnym tuszem rzęsy przypominały czarne półksiężyce, a oczy skryte pod nimi lśniły taką żądzą, że gdyby nie zaklęcie wiążące to jeden z moich mięśni poruszyłby się na pewno. – Wiedziałam, że mi przekazał szczególną rolę. Czułam to w sercu.

Przepięknie. Zawsze wiedziałem, że zgubi mnie kobieta. Miałem wobec płci pięknej zbyt wiele skrupułów.

– Bo ja mam pewien specjalny talent. – Przysunęła się do mnie, aż poczułem jej zapach. Nie perfumy, kremy albo inne cuda używane przez kobiety, nie. Poczułem jej prawdziwy zapach. Była podniecona. – Kiedy bardzo chcę, umiem znaleźć wszystko.

Zamykam oczy i widzę, gdzie jest to, czego potrzebuję. Tak znalazłam pieczęć. Niestety, kiedy już ją zdobyłam, Barnaba stwierdził, że dłużej nie potrzebuje mojej pomocy.

Usiadła mi na kolanach, przysunęła się niebezpiecznie blisko. Twarz Delili przy mojej gębie. Dzielił nas tylko dym.

– Okradł mnie. – Opar umykał przed jej dłońmi, kiedy przesuwała nimi po moim ciele. – Akurat kiedy znalazłam jednego z potomków Pana.

Zręczne palce rozpinają guziki.

– Byliśmy tak blisko, lecz Barnabę zaślepiła chciwość. Chciał, żeby na niego spłynęła cała chwała. – Zachichotała. – Ale ja nie byłam głupia. Nie powiedziałam mu wszystkiego, więc szukał na oślep...

Rozpięła ostatni guzik i wstała. Pochyliła się nad pieczęcią, wyszeptała kilka niezrozumiałych słów, przypominających raczej radiowy szum niż ludzką mowę. Krzyż zamknięty w kole rozżarzył się złotym, nienaturalnym blaskiem. Wokół niego zaległa ciemność, jak gdyby pożądał światła tak mocno, że wysysał je z otoczenia, otaczając się mroczną aureolą.

– Szukał ciebie. – Dotknęła mnie rozpalonym przedmiotem. – Więc mu ciebie dałam, wiedząc, że nie mógłby skrzywdzić żadnego z potomków.

Chciałem krzyknąć, ale nie mogłem. Czułem smród palonej tkanki i czułem, jak krzyż wtapia się w moją pierś. Kiedyś podczas nalotu jakiś bandzior oblał mnie wrzącą wodą – tamten ból jawił się teraz jak niewinna pieszczota...

Lepkie, wilgotne więzienie z tkanki ustępowało, rozerwane promieniami światła żywej magii. Jej złociste strzały wsuwały się brutalnie w szczeliny mych powiek, pragnąc rozewrzeć je niczym wrota zamczyska.

Co? Co to było? Ból raz jeszcze przywołał mnie do rzeczywistości, musiałem stracić na chwilę przytomność. Teraz byłem z powrotem...

Czyżby jeden ze snów, które tkąłem znudzony cielesnym więzieniem, właśnie miał się ziścić? Czy dzień przebudzenia nadszedł, jak przepowiadano w Świętej Księdze?

– Oto powrócą potomkowie, ażeby stoczyć bój o tron Protoplasty – wyrecytowałem, poruszając ustami mężczyzny, mojego doczesnego katorżnika.

Słowa, które opuściły moje usta należały do kogoś innego, nawet głos nie był mój.

– Coś ty zrobiła? – krzyknąłem. Jej dymne zakłęcie zaczęło ustępować, odzyskiwałem władzę nad ciałem.

Cofała się pod ścianę, przemądrzała Delila, teraz przerażona i blada, na uginających się i trzęsących kolanach.

Poczułem coś mokrego na czole – kropla krwi spłynęła na nos, na sam jego czubek, a potem skapnęła na podłogę. Podążyłem za nią wzrokiem. Zobaczyłem, jak rozbija się na drewnianej desce. Wkrótce dołączyły do niej kolejne – z pojedynczych kropli cały deszcz.

Skóra na czole zaczęła pękać. Zazgrzytała kość. Nagle trzasnęło potężnie i poczułem, jak pękają żebra... Jak gdybym był czymś garniturem i ten ktoś właśnie postanowił zmienić ubranie. Rozpiął mnie jak zamek błyskawiczny w czarnym worku i zaczął wyłazić.

Opuszczałem więzienie.

Przestałem cokolwiek czuć, a później zniknąłem zupełnie...

Byłem wolny. Zrodzony w krwi i posoce, w kloace nędznych organicznych komórek! Moje nozdrza obrosły błoną, strzegąc wrażliwy zmysł przed falą smrodu tego miejsca. Ma metaliczna skóra z wolna dopasowywała gęstość do cząsteczek powietrza. Wprawiana w delikatne vibracje, rozpływała się, to na powrót stawała rzeczywista, aż wreszcie stałem się bardziej prawdziwy niż mieszkańcy tej planety. Nie byłem dłużej więźniem, wetkniętym w zwierzęce ciało jak w kokon, byłem wolny.

Raz jeszcze ja, Paddington Pierwszy, Wielki Trykster i najwspanialszy z Awian, rozwijałem skrzydła. Mój blask wypełnił ohydne pomieszczenie, zalał oczy zwierzęcia-samicy, zmuszając ją do spuszczenia wzroku. Uklęła, pochylając głowę z szacunkiem.

– Witaj, o Wielki. – *Jej głos drżał irytująco.* – Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zdradzisz swoje imię?

– Głupia. – *Policzek postął ją na podłogę.* – Nawet nie wiesz, czyją wolność zwróciłaś?

Stanąłem nad nią, rozpościerając skrzydła po brzegi pokoju, aż ich pióra podrapały szyby i ściany. Tatuaze pokrywające me nagie ciało świeciły na niebiesko i czerwono, niczym witraże tworzące ściany dawnego domu Awian. Poczulem, że igły obrastające mą głowę stanęły dęba, jak zęby gotowe pić krew.

– Wypełniam rozkazy Twego Ojca – *tłumaczyła z pochyloną głową, drżąc.*

– Powinienem cię zabić. – *Pomimo szorstkich słów byłem litościwy, doceniając jej poświęcenie. Uniosłem głowę zwierzęcia-samicy, żeby na mnie spojrzała. Jej skóra, nienawykła do dotknięcia palców nadistoty, pękła, rosząc podłogę krwią.* – Jednakże znajduję twe oddanie interesującym.

– Dz-dziękuję – *wydukała, chociaż każde poruszenie ustami, kosztować musiało ją wiele cierpienia.*

– Dlaczegoż chciałaś mnie uwolnić? – *Mój głos wprawiał w vibracje szyby. Te odpowiadały brzęczeniem na każde słowo.*

Wyraz twarzy zwierza-samicy starczył za odpowiedź, więc zamknąłem drżące usta kciukiem, stawiając na nich krwawą pieczęć.

– Protoplasta omamił was pustymi obietnicami – *oznajmiłem.*

Puściłem ją, dostrzegając znajomy błysk na jednej ze ścian. Przejmowałem wiedzę i doświadczenia zwierzęcia... człowieka, który do tej pory był zarówno mym

azylem, jak i więzieniem. Zaczynałem rozpoznawać nazwy i przeznaczenie przedmiotów tego świata – Ziemi.

Drewno ugięło się przy każdym kroku. Ruchome ostrza pokrywające me ciało buczały spragnione walki. W tym wcieleniu miałem być bronią.

Jęk zawodu wydarł się z mego gardła, kiedy tylko ujrzałem odbicie. Lustro upadło na ziemię w tysiącu kawałków. Przekleństwo na mnie, moje nieszczęście.

Szybciej niż wiatr, niż poruszające się w nim pyłki oraz nierozwinięte do świadomego życia organizmy, ruszyłem i znalazłem się przy samicy. Przy kobiecie, jak nazywał ją i jej podobne Ezra. Chwyciłem samicę-kobietę za gardło, przybliżyłem śmierdzącą twarz, lśniąca kapiącym z porów tłuszczem, i spojrzałem w te nakrapiane źrenice. Nie posiadała duszy jak reszta tych zwierząt, więc jednym zaciśnięciem palców mogłem wymazać ją z Ksiąg Egzystencji.

– Cóżes uczyniła? – *Wskazałem na pieczęć, a ta odpowiadając na zew, przyfrunęła do mej dłoni.*

Przeszukałem pamięć przedmiotu, wiedząc, że każda rzecz posiada swoją historię. Pieczęć była uszkodzona. Użyta wbrew przeznaczeniu jako broń, jak młot do rozbijania czaszek. Została zdeformowana. Niewystarczająco, ażeby zwierzęta-ludzie zdolali to dostrzec, wystarczająco jednak, ażeby uczynić me przywołanie na ten plan niekompletnym.

– Głupia. Cóżes uczyniła... Swym niedbalstwem sprawiłaś, że moja porażka w Grze jest wielce prawdopodobna.

– Panie... – *zaczęła mówić, ale delikatnym uściskiem odciąłem samicy-kobiecie dopływ powietrza.*

– Nie mów, lecz słuchaj – *rozkazałem.* – Pieczęć, której użyłaś do mego przywrócenia, została skażona. Samiec-mężczyzna, w którym mieszkałem, użył jej wbrew przeznaczeniu. Zniszczył fragment, przez co me przywołanie nie jest zupełne. Mogę przebywać na tym planie tylko przez określony czas.

Rzuciłem kobietę na łóżko, podszedłem bliżej i otoczyłem ją skrzydłami. Okryła nas ciemność.

– Już czuję, że słabnę. Źle mi się przysłużyłaś. Powiedz, dlaczego miałbym cię oszczędzić? – *Nie zasługiwała na szansę, którą dawałem. Czyżby ta laskawość wobec pośledniej rasy była skutkiem nieudanego rytuału? Będąc jednak Awianem, nie mogłem cofnąć raz danego słowa, toteż cierpliwie oczekiwałem na jej odpowiedź.*

– Panie, umiem odnaleźć wszystko, co jest na ziemi. Znajdę nową pieczęć...

– Głupia – *przerwałem*. – Na co mi kolejna pieczęć, skoro zostałem już przywołany, chociażby częściowo. Nie można powtórzyć inwokacji.

Zadrżała, kiedy czerwono-niebieskie znaki na moim ciele zabłysnęły mocą.

– A jednak, może znajdę dla ciebie zastosowanie.

Zostawiłem ją na łożu. Podszedłem ku oknom i wyjrzałem na zewnątrz. Tam, utopione w brązach i parze unoszącej się ze studzienek, ujrzałem budynki wysokie na trzy-cztery piętra, nieładne w swej architektonicznej prostocie, tak niepodobne do budowli mego domu. Zadrżałem na wspomnienie lotów pomiędzy Wieżami Stworzenia o milionie pięter, ognistych chmur pieszczących żółte niebo... Jakże pięknych, jeśli porównać je do szarego oparu, który dojrzałem na tutejszym czarnym niebie.

– Czekaaj tu na mnie. – *Poszukałem w pamięci mężczyzny-Ezry odpowiedniego określenia*. – Muszę rozprostować skrzydła. Nie waż się uciekać.

Ostrza na moich dłoniach nastroszyły się.

– Piłem twoją krew, więc od tej pory będę zawsze wiedział, gdzie jesteś.

Uderzyłem skrzydłem, rozbijając ścianę. Potłuczone szyby, kawałki tynku i cegieł zleciały na dół, na ulicę. Małe, nieistotne zwierzęta-ludzie rozpierchły się w przestrachu. Pozwoliłem raz jeszcze zapłonąć moim tatuazom, by ujrzały wielkość odrodzonego Awiana. Wiedziałem, że ta wolność nie potrwa długo.

– Panie? – *usłyszałem jej szept.*

– Mów.

– Dziękuję. Dziękuję, że dałeś mi szansę na doczekanie ponownego przyjścia Pana.

Wyskoczyłem. Niesiony siłą skrzydeł wzniosłem się w górę. Podmuchi, który wywołało ich pierwsze uderzenie, przewrócił samice-kobietę. Byli jak puch, byle gestem mogłem ich skrzywdzić.

Kolejne uderzenie wyrzuciło mnie wyżej, ponad budynki miasta, w górę do atramentowego nieba. Poprzez szare chmury dostrzegłem żółtą kulę uwieszoną wysoko, dosyć wysoko, ażeby smród tej planety pozostał wspomnieniem. Mógłbym tam dotrzeć z łatwością, jednak nie miałem dosyć czasu, więc z żalem zrezygnowałem.

Szybowałem nad miastem, zbierając światło ulicznych lamp i gwiazd na mych srebrzystych skrzydłach. Nurkowałem pomiędzy budynkami, już prawie uderzając o ziemię, w ostatniej chwili wznosząc się w górę. Przemykałem pomiędzy nielicznymi pojazdami-automobilami, a te pierzchały na bok, na chodniki, w obawie przed konfrontacją. Czapki-kapelusze samców-mężczyzn spadały przy podmuchu wiatru spod skrzydeł przelatującego Awiana, a oni kładli się na brzuchach w geście poddaństwa. Czulem się jak władca tego świata, wiedząc, że nikt tutaj nie jest mi równy.

Kobieta-Delila podziękowała mi. Zachichotałem pełen podziwu dla dowcipu Protoplasty – przyjście Pana... Pewnie siebie miał na myśli. Cóż za doskonały żart. Wybrał to miejsce jako pole Gry, ażeby wyłonić swego następcę. Wybrał sługi, które miały nas odszukać i przywołać. I nie dał im w zamian nic poza pustą obietnicą zbawienia. Zbawienia dla istot bez duszy.

Zaprawdę, przedni był z niego Trykster.

Nagle, gdzieś w oddali, na skraju metropolii wyczułem obecność. Nie mogłem być pewien, albowiem me zmysły słabły z każdą chwilą, przypominając o potrzebie powrotu do Więzienia Ciała...

Nie miałem jeszcze dość siły na konfrontację, musiałem wracać.

– Delila – wyszeptalem.

Jeśli rzeczywiście tak sprawnie potrafiła nas odnajdywać, znalazłbym dla niej zastosowanie. Mógłbym odesłać konkurentów z Gry, zanim urzeczywistniliby się na dobre.

Przyspieszyłem.

4.

Zwinąłem skrzydła, zanurkowałem. Powietrze furkotało wokół, poruszając igłami i delikatniejszymi z ostrzy, które mnie porastały. Świat rozmazał się, a ja z prędkością pocisku wpadłem do pomieszczenia, gdzie zostawiłem Delilę. Podłoga stęknęła pod moim ciężarem, fala uderzeniowa rozeszła się wokół, łamiąc słabsze z desek.

Kobieta-Delia leżała na podłodze. Martwa. Powietrze nie poruszało się w jej ciele – piersi nie unosiło pożądanie kolejnego haustu. Krew przestała napędzać tę organiczną maszynę. Obok leżał mężczyzna, którego znałem – którego Ezra znał – Pollock. Ten jeszcze oddychał, jednak krew wyciekała z niego obficie. Nad nim stał napastnik, gotując się do zadania ostatecznego ciosu.

Nie wyglądał na zwyczajnego człowieka. Jego kończyny połączone zostały z metalowymi szynami, jak gdyby był w połowie zwierzęciem, a w połowie Awianem. Nie, to złe porównanie. Wyglądał raczej jak olbrzymi, okaleczony arachnid.

– Barnaba – syknąłem.

Powinien być martwy. Fragmenty jego rozłupanej czaszki smętnie zwisały na skórze i polepionych posoką włosach. Z dziur po pociskach sączyła się krew, ale on wciąż żył. Jego zakończona ciężkim szczudłem kończyna frunęła w stronę głowy

mężczyzny-Pollocka. Wszystko trwało tak krótko, że nie zdążył nawet zauważyć mej obecności.

Wpadłem pomiędzy niego a ofiarę. Zasłoniłem Pollocka skrzydłem, prawie nie czując ciosu Barnaby. Odwróciłem się, zanim zdołał odzyskać równowagę po nieudanym ataku i uderzyłem otwartą dłonią. Zatrzymał się za ścianą, w której wybił dziurę obrzydliwym cielskiem.

Słabłem, nawet moje myśli stawały się inne, bardziej urywane... Jednak musiałem wytrzymać jeszcze chwilę, musiałem zrozumieć, co się tutaj wydarzyło.

Przywołałem przeszłość.

Z pomieszczenia wyszło kolory, jakby nakryło je kilka warstw kurzu. Ciemna krew, wsiąkająca pomiędzy deski podłogi, traciła żywą barwę, by leniwie, choć z każdą mijającą chwilą coraz szybciej, zacząć wracać do ciała Delili, która leżała martwa obok ciężko rannego Pollocka. Ten drgał z bólu, ale i jego rana zaczynała się zasklepiać, aż zniknęła zupełnie. Rozdarcie na koszuli spięło się i mężczyzna znów stanął. Płynący wstecz czas ukazywał, co stało się podczas mej nieobecności. Ludzie odgrywali swe role raz jeszcze, lecz wspan. Coraz szybciej, aż do chwili, kiedy cały pokój zniknął, zastąpiony ciemnymi falami.

Przewinąłem wydarzenia do momentu tuż po moim odejściu.

Drzwi wleciały do środka w deszczu drzazg. Mężczyzna-Barnaba wpadł do środka, tocząc krew i pianę z ust. Kobieta-Delila nie stanowiła dla niego zagrożenia. Wycelowała weń dłonią i wykrzyknęła kilka słów w moim języku – cztery igły wystrzeliły z palców dziewczyny, wrzynając się w twarz stwora. Tkanka i krew trysnęły na ściany.

Tylko go rozwścieczyła. Rozpędził się, klekocząc metalowymi częściami, i dopadł samicy-kobiety. Przycisnął ją do ściany, a wizja drgnęła, jakby wpłynęła na nią siła tegoż ciosu. Obraz stracił wyrazistość, a kiedy odzyskałem ostrość, było już

po walce – kobieta-Delila wypluwała ostatnie fragmenty życia. Pokraka-Barnaba prawą kulą przebijał jej pierś. Trzepotała rękami jak insekt-motyl przebity szpilą.

– Myślałaś, że się mnie pozbyłaś? – Przysunął się i wgryzł zębami w jej policzek, wyrywając płat skóry. – Ja też mam talent. Mnie bardzo trudno zabić.

Nagle napastnik odwrócił się. Coś go zaniepokoiło. Podążyłem za jego wzrokiem. W wejściu stanął mężczyzna-Pollock. Wyszarpnął broń prochową, wycelował i krzyknął:

– Policja, stój!

Pokraka-Barnaba spoglądał na policjanta. Stał w miejscu, bezwolnie poruszając prawą kończyną, która uwięzła pomiędzy kośćmi-żebami kobiety-Delili. Nie mógł się uwolnić.

– Nie ruszaj się!

– Ja tylko chcę odzyskać moją własność – wycharczał, wypluwając czarną ślinę.

Kobieta-Delila próbowała mówić, jednak oni usłyszeli tylko charkot. Moje wrażliwe zmysły potrafiły wyróżnić słowa.

– Beze mnie nie znajdziesz żadnego.

Bredziła. Pośledni umysł tracił przenikliwość w cierpieniu, ale żałowałem jej i tak. Bardzo ułatwiłaby mi udział w Grze. Samemu nie potrafiłem wykryć ich wcześniej niż przed przywołaniem – ukryci w ludzkich ciałach byli bezpieczni.

– Na litość boską, przestań w niej grzebać – rozkazał mężczyzna-Pollock.

Mężczyzna-Barnaba wykrzywił usta w grymasie, który sprawił, że wyglądał, jakby jego pogruchotana głowa miała za chwilę rozpaść się na kawałki. Szarpnął mocno. Ciało dziewczyny podskoczyło, a coś w jej wnętrzu pękło z mlaskiem, wysyłając w powietrze fontannę krwi. Policjant zrobił krok do tyłu, zachwiał się i wypalił. Fragment policzka Barnaby prysnął, zniknął w oka mgnieniu. Starzec krzyknął proste zaklęcie – niechlujnie i nieczysto wypowiedziane słowa rodzimego języka odebrałem jako wyjątkowo drażniące.

Kilka cząstek tworzących wszechświat zniknęło z Księgi Egzystencji, głucha implozja zagrziała w pokoju. Powstałe ssanie powietrza złapało policjanta-Pollocka i pociągnęło w stronę przeciwnika. Upadł, rozbijając głowę.

– Ja tylko chcę odzyskać moją własność! – Pokraka-Barnaba uderzył, a ja odwróciłem się, ażeby przez dziurę w murze dojrzeć samego siebie, wlatującego do mieszkania.

Wizja się zakończyła.

Ponownie byłem w „teraz”.

– Jesteś aniołem. – Stary podnosił się po mym ciosie. Cokolwiek sprawiało, że wciąż walczył, nie mogło pochodzić od człowieka. Odrzucił połamane szczudła i podpierając się rękami, wszedł przez dziurę w ścianie. Ukłękął. – Ja zawsze wierzyłem. Ja oddałem wam wszystko. Ja wiedziałem, że mnie zbawisz. Ja wiedziałem, chociaż ona się śmiała.

Zbliżyłem się. Ująłem w dłonie jego twarz. Łzy zapłonęły w obrzydliwie zapaćkanych pigmentem oczach, skóra mężczyzny-człowieka zaczęła pękać.

– Nie ma nagrody.

Głowa pokraki-Barnaby upadła na podłogę i poturlała się pod ścianę. Ciało upadło obok. Strzepnąłem krew ze skrzydła, po czym wypowiedziałem zaklęcie. Przez chwilę przyglądałem się niebieskiemu ogniewi trawiącemu bezgłowy korpus tego, który pozbawił mnie pomocy kobiety-wiedźmy – później położyłem się obok jej trupa i obok nieprzytomnego Pollocka. Owinąłem się skrzydłami jak kokonem.

Czekając.

Czekając.

Epilog

Przez pasy żaluzji widziałem mokre od nocnego deszczu ulice i ludzi przeskakujących nad kałużami. Niebo często płakało ostatnimi czasy.

Drzwi otworzyły się nagle, wpuszczając do środka nocny ziąb. I mężczyznę, którego bardzo dobrze znałem. Dostrzegłem spojrzenie Sama przy barze: pytało, czy wszystko będzie w porządku.

Pollock zamówił piwo i usiadł naprzeciw. Był pocerowany jak trzydziestoletni kozuch, prawą rękę trzymał na temblaku, a spod kapelusza smętnie zwisał mu koniec bandaża.

– Co tam masz? – Wskazał kartonowe pudło, które ułożyłem na krześle obok siebie.

– I jak? Załatwiłeś? – zapytałem, zamiast odpowiedzieć.

– W porządku. Wracasz do służby.

Pollock łyknął piwa, krzywiąc się przeraźliwie.

– Dalej nie wiem, co się wtedy stało – oświadczył. – Tyle krwi...

Milczałem. Niech gada.

– Ezra, ja nigdy nie zapomnę, że mnie uratowałeś.

– Wpadłem na ich trop jakiś czas temu, czułem, że to mój bilet powrotny. Para morderców.

– Widziałem jego mieszkanie. Nie wierzę, że to mówię, ale... Cieszę się, że nie żyje. Kobieta również.

– Ona byłam mózgiem, on mięśniami. A że zaczęło mu odbijać, Delila szukała kogoś, kto mógłby kontynuować dzieło. Kogoś, kogo mogłaby kontrolować. I wtedy pojawiłem się ja.

– Mogłeś mi powiedzieć, że nad czymś takim pracujesz – zaczął, ale mu przerwałem.

– Uwierzyłbyś pijakowi? – Pytanie zawisło w powietrzu, nikt nie zamierzał na nie odpowiadać. – Miałem wtedy problem, wiemy o tym obaj.

Spojrzał wymownie na absynt, który stał w kieliszku oplecionym moimi palcami.

– Nie wypiję tego – wyjaśniłem. – To tylko taka gra.

– Prawda. Od kilku dni zamawia i zostawia. Gapi się na Wrózkę godzinę i wychodzi – zakrzyknął Sam, który musiał usłyszeć fragment naszej rozmowy.

– Dzięki, Sam – powiedziałem. – A teraz wracaj do nalewania tego sikacza.

– Ssij gwoźdźcia, palancie – parsknął.

Pollock wzruszył ramionami i raz jeszcze spróbował zawartości kufła. Po dwóch solidnych łykach odstawił półpełne naczynie na stół, po czym wstał ciężko. Nałożył kapelusz i ruszył ku wyjściu.

– Ezra, powiem to, bo uważam cię za przyjaciela – stwierdził, stając przy wyjściu. – Twój raport w tej sprawie nie trzyma się kupy. – Wzruszyłem ramionami. – Ale to już nieważne. – Po tych słowach wyszedł, zostawiając mnie samego.

Uniosłem w górę Zieloną Wrózkę, czując jej ostry zapach drażniący nozdrza, rodzący obietnicę, której wcześniej nie umiałem się oprzeć. Przyłożyłem brzeg kieliszka do ust... I zaraz odłożyłem na stół, czując tępy ból w potylicy. Paddington zaprotestował.

Czarownica w pokrętny sposób dotrzymała słowa – nie mogłem już pić alkoholu, ponieważ zamknięty w mym wnętrzu Awian czuł do niego obrzydzenie. Nie mogłem również jeść, chociaż akurat tego nie obiecywała. Jedyne, co Paddington tolerował, to wodę. Czystą wodę i papierosy – je mogłem palić cały czas.

– *Napawasz mnie obrzydzeniem* – warczał, rozpychając się jak zwykle w mojej głowie, jakbym należał do niego. – *Nie mogę doczekać się dnia, kiedy cię zarżnę, bydlę-Ezra.*

– I vice versa. – westchnąłem, zapalając papierosa. Dym go ukoji i zamknie mordę.

W przeciwieństwie do Pollocka pamiętałem wszystko z tamtego wieczoru. Nawet kiedy moje flaki wały się po biurze. Obserwowałem świat oczami Awiana, ale byłem gdzieś z tyłu, jakbym skrył się za zasłoną i oglądał sztukę w teatrze. I

choć nie słyszał mnie, jak ja muszę słuchać jego, to jednak tam byłem. Pamiętałem nawet moment, kiedy „zrobił” mnie na nowo.

– *Nienawidzę twojego śmierdzącego porowatego ścierwa. Dam twe oczy robakom na pożarcie.*

Gadaj zdrow, Paddy.

– *Jeżeli chcesz istnieć, będziesz mnie słuchał.*

Gadaj zdrow.

Delikatnie uniosłem wieko pudła. Przekrwione źrenice Barnaby spojrzały na mnie z nadzieją.

Założyłem kapelusz, włożyłem pakunek pod pachę i wyszedłem w noc.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Antologia „Kryminalna 13” to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Medialny patronat nad konkursem objęła redakcja „Świtu ebooków” oraz serwis literacki „Książka zamiast kwiatka”, platforma „Maszyna do pisania”, serwis „E-fantastyka”, „Kawiarenka kryminalna”, Portal Rynku Wydawniczego „Wydawca”.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotyczących wydarzeń i postaci historycznych. Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

Maciej Żytowiecki: Mój prywatny demon

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Szablą i wąsem. Antologia opowiadań sarmackich

Autorzy: Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i licho wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

Szablą i wąsem to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

Andrzej W. Sawicki: Kolce w kwiatkach

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg”. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach obleżonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmienicy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotę, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

Agnieszka Hałas: Po stronie mroku

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną maszynę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieżę zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

Emma Popik: Trzeci cycek

Mistrzynie krótkiej formy powraca!

A gdybyś pewnego dnia się obudził i wymacał z przodu piersi, które wyrosły nocą – to co byś zrobił? Skutki tego niesamowitego odkrycia zawiodły bohatera (bohaterkę?) opowiadania *Trzeci cycek* w głąbię podziemi i nieznaną dotąd seksualności, oraz doprowadziły do zrozumienia własnych odczuć i pojęcia rozmiarów zbrodni, której stał się ofiarą.

Tytułowy *Trzeci cycek* rozpoczyna tom, na który składa się siedem intrygujących i przejmujących opowieści. Kwestie płci, wolnej woli, przeznaczenia, ratowania ludzkości przed knowaniami służb i tyranią systemu, walki o własną tożsamość, marzenia, miłość, prawo do wyboru, relacje między człowiekiem a sztuczną inteligencją. Oto tematy, które autorka porusza z odwagą, mądrością oraz niebywałą wprost empatią, wnikając w dusze kobiety, mężczyzny, robota.

Dariusz Kankowski: Płacz przodków

Król spotyka dziewczynę z rasy niewolników, którą natychmiast pragnie pojąć za żonę, by spłodzić z nią dziedzica. Ale to nie bajka, tylko początek horroru. Akcja toczy się w odległych, ponurych czasach, gdzie opowieści rzadko kiedy kończą się szczęśliwie. Ciemżeni Gi toczą beznadziejną walkę o wyzwolenie spod władzy swoich okrutnych panów, K'Anu, i ich bezlitosnego władcy, który z chwilą narodzin stał się panem całego znanego świata. Darem, który Neill otrzymał od Wszechrodziców, jest władza nad wszelkimi żywymi stworzeniami. Nikt nie może się mu sprzeciwić. A jednak Liść, prosta dziewczyna z ludu, to zrobiła. Czyżby utracił moc? To historia walki o wolność i własną duszę, mroczna fantazy opowiadająca o odkrywaniu prawdy o bogach, przeznaczeniu i ludzkich uczuciach. Czy miłość jest silniejsza od przyjaźni, a pożądanie od lojalności? Czym uciszyć płacz przodków, wciąż rozbrzmiewający w głowie?

Emma Popik: Wywiad z bogiem

Kim jest człowiek nazywany przez prosty lud bogiem? Podobno tworzy nowe byty – a to wszak robota bogów. Ale czy jest ważniejszy od wpływowego dziennikarza, który również posiada boską moc? Może wywyższać ludzi swoimi artykułami lub strącać ich w niebyt niesławy byle pomówieniem. Spotkaniu tej dwójki poświęcone jest tytułowe opowiadanie.

Bohaterowie pozostałych, podejmując decyzje, wykonując swoją pracę, wypełniając misje lub rozkazy, mają wpływ na całe miasta, kraje, a nawet planety. Albo intymniej – odmieniają los jednego człowieka, jednej miłości...

Bogowie są jak ludzie: leniwi, skorzy do wybuchów gniewu, oczekują zapłaty i sutego poczęstunku. I czynią cuda. Ludzie są jak bogowie: wszechmocni, niosą śmierć, decydują o życiu, marzeniach i wspomnieniach innych. Lecz wciąż pozostają ludźmi – ułomnymi, popełniającymi błędy, a zarazem wspaniałymi, skłonniymi do poświęceń, kochającymi życie, łaknącymi ciepła drugiego człowieka. Bo wszystko można zapomnieć, prócz miłości i tęsknoty.

Dariusz Kankowski: Tęsknota

Zbiór dziewięciu zróżnicowanych stylistycznie i tematycznie opowiadań połączonych wspólnym motywem. Autor zabiera nas w podróż przez czasy i światy, skłania do refleksji nad naturą tęsknoty i jej implikacjami. Zbiór tworzy całość poprzez system subtelnych powiązań, odniesień, wątków – mitologicznych, baśniowych, historycznych, literackich – z przeplatającym się motywem Pięknej i Bestii, osadzonym w realiach XXI wieku.